

„Zieleniarze - obywatele świata“

218 **Lucyny Legut**

w Teatrze Ziemi Gdańskiej

NIKT nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie? Lucyna Legut, po premierze swej „bajki dla dzieci i dorosłych” — „Złodziej serc” w Teatrze „Wybrzeże” w 1960 r. nie zgodziła się z zarzutami wybrzeżowych recenzentów (w tym i niżej podpisanego) i — widać wierząc w przyszłość, które myślny zaopatrzyli w znak zapytania — w rozmowie ze współpracownikami warszawskiej „Współczesności” użyła słowa **dintojra**. Publiczność uwierzyła jednak recenzentom, bo na „Złodzieja serc” nie chodziła i sztuka zeszyła z afisza.

Ale to było dawno. Nową sztukę Lucyny Legut „Zieleniarze — obywatele świata” zrealizował Teatr Ziemi Gdańskiej i po raz pierwszy przed tygodniem zagrał w Kościerninie. Tak więc to powiatowe miasto, znane ze swego bardzo pozytywnego stosunku do gdańskiego zespołu objazdowego, może zapisać do swych kronik kulturalnych, iż na scenie w kościernskim Domu Kultury od była się **prapremiera polskiej sztuki teatralnej**. Bądź co bądź — duży zaszczyt.

I jeszcze jeden aspekt. Teatr Ziemi Gdańskiej, wystawiając „Zieleniarzy” Lucyny Legut, gdańskiej przecież literatki (dodajmy nawiasem nie tylko dramafopisarki, ale też autorki utworów prozatorskich, malarki i aktorki w jednej osobie), podjął dyskusję z Teatrem „Wybrzeże”, który uparcie i od dawna twierdzi (może od porażki „Złodzieja serc”?), że nasze środowisko pisar-

skie dotąd nie zdobyło się na napisanie utworu, który byłby godny wystawienia na jego scenach. Kto ma rację? Znow chciałoby się zacytować przysłowie o proroku i ojczyźnie, ale nie wiemy przecież, czy, kto i jakie wysuwał propozycje kierownictwu Teatru „Wybrzeże”, a więc o racji tej lub drugiej strony sędzić możemy tylko po wartościach „Zieleniarzy”.

UTWÓR na pewno ma wiele zalet. Aluzyjny, metaforyczny nawet, walczy z małostkowością ludzką, nie raz przeradzającą się w podłość, jest pełen liryzmu, a sprawę godności ludzkiej, dążenia do czegoś piękniejszego niż codzienność, lepszego niż powszednie życie stawia jako wartość zasadniczą.

Pokazuje te sprawy na tle niewielkiego zaułka w jakimś mieście, gdzie zieleniarz (Juliusz Przybylski) sprzedaje przed swym domem warzywa, przeżywając równocześnie piekło domowych nieporozumień z pogardzającą nim żoną (Teresa Lepkowska), rzeźnik z naprzeciwka handluje swymi wyrobami, wodzony na pokuszenie przez sąsiadki (Ireneusz Karamon), gdzie wciśbiskie babsko (Maria Gerhard) maltretuje niedorozwiniętą umysłowo, ale o szlachetnym sercu Różę (Anna Pasiutówna), a na tarasie kawiarńi królują keiernerka (Helena Sztark-Wizilo) i zbierają się artyści, a wśród nich malarz (Zbigniew Gawroński), który

portretuje zieleniarza i tym ratuje go od niewiary w siebie samego, niejako awansuje, a w każdym razie uświadamia mu prawdę, iż jest potrzebny, co pięknie stwierdza stary zamiatacz ulicy (Kazimierz Rowiński).

Sztuka zagrana była bardzo nierówno. Kapitałną postacią małomiasteczkowej plotkary i złośliwej wiedzmy stworzyła Maria Gerhard, a sentymentalną i szlachetną, acz trochę nie z tego świata była wyjątkowo tym razem dobra Anna Pasiutówna. Przekonywającą sylwetkę artysty malarza namalował — żeby się wyrazić plastycznie — Zbigniew Gawroński. Reszta grających, albo była przeciętnie poprawna, albo... nieporozumieniem, jak choćby żona zieleniarza, która aparycja, kostiumem, gestem i głosem tworzyła postać pięknej damy, a nie towarzyski życia przekupnia.

Ewa Nahlik namalowała uroczy zakątek zabytkowego zaułka miejskiego.

Do reżysera (Maria Chodecka) mam pretensję właśnie za ów nierówny poziom aktorski, który — moim zdaniem — można było skorygować.

ALE tym omówieniem przedstawienia nie odpo wiedziałam jednoznacznie na pytanie, czy „Zieleniarzy” warto było wystawiać? Zapewne tworzywa tekstowego nie ma tu zbyt dużo, ale dosyć, aby aktorzy o wybitniejszych talentach mogli wykreować ciekawe postacie sceniczne, które w sumie stworzyłyby interesujące przedstawienie. A więc warto byłoby zaryzykować.

Marek DULĘBA



Maria Gerhard (pani Koleka) i Teresa Lepkowska (żona zieleniarza Józefa).
Fot. T. Link